

Polskie baśnie, podania, i legendy. Teksty do konkursu recytacji.

1. O Lechu i białym orle

Bardzo byli już zmęczeni wojowie Lecha. Dawno już temu wyruszyli z dalekich stepów, by znaleźć sobie nowe siedziby. Od kilkunastu lat bowiem na stepach panowała susza i coraz trudniej było zebrać z ziemi więcej ziaren, niż się zasiało. Dlatego ruszyli na poszukiwanie nowego miejsca i sprowadzić tam żony i dzieci.

Drużyna zaległa właśnie pod rozłożystym dębem i odpoczywała. Konie pasły się na łące i piły wodę z czystej jak źródło rzeki.

Lech stał na skraju pradawnej puszczy i zamyślony patrzył to na wysokie, gęste trawy przed sobą, to na gęstą puszczy za swoimi plecami. Może wspominał braci: Czecha i Rusa, z którymi rozstał się niedawno? Rus jako pierwszy pozostał na wschodzie, Czech ruszył na południe a Lech powiódł swoich rycerzy na północ.

Lech coś rozważał. Tutaj ziemia była dobra, zapowiadała świetne plony. Puszcza była bogata w różnego rodzaju zwierzynę. Rzeki, przez które przepływali lub przechodzili były czyste i rybne.

Lech był bardzo zamyślony, bo ziemi, na której mają się rodzić ich dzieci i wnuki, nie wybiera się pochopnie. Ta ziemia musi być na zawsze. Myślał, wodząc wzrokiem po równinie i bezchmurnym niebie.

Nagle ptak potężny pojawił się nad jego głową. Połyskiwał bielą szeroko rozpostartych skrzydeł. Potem zatoczył luk nad wiekowym dębem, rosnącym na skraju puszczy i przysiadł na wielkim gnieździe. Lech ujrzał wychylające się z gniazda główki białych piskląt. Białopióry ptak przysiadł na skraju gniazda i troskliwie je karmił.

Ożywił się Lech, rozchmurzyło się jego czoło i gromkim głosem wojów do siebie przywołał. A potem powiedział im:

– Tu zostajemy. Tu będzie nasze gniazdo. A ten biały ptak, karmiący pisklęta - naszym znakiem. A gród, który tu zbudujemy, nazwiemy Gniezdnem.

I w ten sposób biały orzeł stał się ptakiem królewskim na ziemi Lecha i tak doszło do powstania pierwszego grodu, później Gniezdem zwanym.

2. Król Popiel

Rozrastało się Gniezno, założone przez Lecha, zmieniali się jego władcy, aż na tron wstąpił książę Popiel. Zły to był władca. Do rządzenia rękę miał twardą, a do rozrzutności nader lekką. Gnębił poddanych, bezlitośnie ściągał daniny, by je wnet przepuścić na uczyty i zabawy. Gardził radami stryjów, którzy go na tron powołali, chępliwie głosząc, że sam sobie poradzi. Z wielkim niepokojem patrzano na poczynania młodego władcy. Wróżono najgorsze.

A żonę Popiela została księżniczka niemiecka, która była dla niego złym duchem. To za jej radami na dworze bawiono się jeszcze huczniej, zaś niedola poddanych rosła. Bowiem chciwość księżnej nie miała granic.

Boleli nad tym stryjowie, upominali księcia, wreszcie zagrozili mu pozbawieniem władzy, jeśli swego postępowania nie zmieni. Przestraszył się Popiel tej groźby. Więc poradził się żony, co ma czynić. A żona podsunęła Popielowi okrutny plan.

W kilka dni później do każdego z Popielowych stryjów przycwałował wystaniec z zaproszeniem na ucztę pojednawczą, w grodzie Kruszwica, który leżał nad jeziorem Gopło. Ucieszyła stryjów ta nagła przemiana księcia i jak jeden mąż do Kruszwicy zjechali. Wprowadzono ich do okazałej komnaty, gdzie Popiel wraz z księżną już czekali, zapraszając do stołów obficie jadłem zastawionych. Zajmowali miejsca według starszeństwa, a gdy to uczynili, Popiel przemówił w te słowa:

– Raduję się, że przybyliście i jesteście gotowi na moją wyciągniętą rękę, wyciągniętą ręką odpowiedzieć. Każdy człowiek błędzi, ale przychodzi taki czas, kiedy z błędów wyrasta. I na mnie taki czas przyszedł. Podnieśmy puchary i wypijmy za zgodę!

Powstali wszyscy z miejsc i ujmując w dłonie puchary gromko odkrzyknęli:

– Za zgodę!

I toast został spełniony. Ale w tym momencie jakby czymś złowieszczym powiało po komnacie. Bolesny skurcz przebiegł po twarzach gości. Niewidzialne ręce ścisnęły im gardła. Czarna zasłona opadła na oczy. Z bezsilnych rąk wypadły puchary. I stryjowie, jeden po drugim, zwalili się na podłogę. Sztywniejące języki mogły jedynie wyszeptać:

– Zdrada! Otruto nas! Zdrada!

Triumfalny śmiech Popiela wypełnił komnatę.

– Tak, truczną piliście, a nie wino! – wołał. To zapłata za to, że czyhaliście na mój tron. Przejrzałem was i dlatego teraz konacie w mękach. A gdy ostatni z was szczególnie, każę wasze ciała do Gopła wrzucić, bo nie zasłużyliście na inny pogrzeb!

Tak się też stało.

W grodzie zaś ucztowano. Wszak stoły były już zastawione, więc Popiel przywołał dworaków. Książę radował się, że osiadł wreszcie mocno na tronie.

Ucztując, nie zwrócili uwagi na czarne chmury, które skłębiły się nagle nad Kruszwicą. I nie przeczuwali, że nadciągają chmury stokroć groźniejsze od nich. Mieli się o tym niebawem przekonać. Popiel i jego małżonka spożywali właśnie wieczerzę i rozmawiali o rychłym powrocie do Gniezna, kiedy do komnaty wpadł giermek krzyżąc od progu:

– Myszy, panie! Myszy nadciągają ze wszystkich stron. Pełno ich w grodzie. Są wszędzie. Rzucają się na ludzi i gryzą.

I nagle przez uchylone drzwi wdarła się do komnaty szara, popiskująca masa małych zwierzątek, wypełniła komnatę, otoczyła książęcą parę i rzuciła się na nią. Zerwał się przestraszony książę, wrzasnęła przerażona księżna i oboje poczęli odpędzać natarczywe stworzenia, ale te – nie zrażone – zaczęły wspinać się na stoły, wdzierać na książęce szaty, wbijać ostre zęby w skórę.

– Służba! Straże! – krzyknął Popiel. – Wybić to szkaradzieństwo!

Rzucili się słudzy na szarą, ruchliwą masę, ale im więcej myszy ginęło pod ich uderzeniami, tym więcej ich przybywało. Rosła ta mysia fala, kłębiła się, nie było przed nią ucieczki. Daremnie Popiel i księżna chronili się do kolejnych komnat, daremnie zamykali za sobą drzwi.

– Na wyspę! Na jezioro! – krzyknął Popiel, upatrując w tym ostatecznego ratunku.

Ale i to nie pomogło. Mysia nawałnica dopadła ich również na wyspie. I wtedy Popiel zrozumiał, że nie ma już ratunku. Że to pomsta i kara za otrutych stryjów. I zginął okrutny Popiel wraz ze swą okrutną żoną.

3. O Piaście Kołodzieju

Gwarno było tego dnia w chacie oracza i kołodzieja Piasta. Sproszono do niej bowiem sąsiadów i krewnych, nie żałowano pieczywa i mięsa, piwa i miodu, choć bieda była w tym domu częstszym gościem niż dostatek. Ale dzień był uroczysty i wymagał wystawności. Oto najstarszy syn Piasta i jego żony Rzepichy siedem lat ukończył, a starym obyczajem należało postrzyżyn dokonać i imię młodzikowi nadać.

Właśnie sposobiono się do tego obrzędu, gdy Rzepicha, wyrzawszy na dwór, zawołała:

– Jeszcze jacyś nieoczekiwani goście ku nam zdążają.

Rzeczywiście, od strony Gniezna zbliżało się dwóch nieznanymi wędrowców. Odziani w luźne, płócienne szaty, wsparci na długich laskach, okryci kurzem, wyglądali na wielce utrudzonych. Stanęli w progu Piastowej chaty, życzyli pokoju domownikom, a potem jeden z nich tak przemówił:

– Daleką mamy za sobą drogę i jeszcze dalszą przed sobą. Pozwólcie tedy nam trochę odpocząć i kubkiem zimnej wody pragnienie ugasić. Byliśmy u bram książęcego dworu w Gnieźnie o gościnę prosić, ale książę Popiel kazał nas służbie z grodu wypędzić.

Pokłonił się Piast przybyszom i gestem do środka zaprosił.

– Moja chata przed wami otwarta - rzekł. – A i dzień dziś niezwykajny. Nasz pierworodny syn siedem lat kończy, spod opieki matki pod ojcowską przechodzi i jego postrzyżyny wnet się odbędą. Radzi będziemy, jeśli razem z nami przy stole zasiądziecie i udział w uroczystości weźmiecie.

– Dziękujemy za gościnność – odpowiedzieli – i chętnie razem z wami będziemy się radować.

Wnet nastąpił obrządek postrzyżyn. Rzepicha wprowadziła do izby ubranego w lnianą koszulę syna i przed Piastem z nim stanęła. Jasne włosy opadały chłopcu na ramiona i czoło, na twarzy malowało się wzruszenie. Chłopiec upadł ojcu do stóp, oddając się w ten sposób pod jego pieczę.

Piast podniósł go, wodą źródlaną skropił i po nożyce sięgnął. Potem ujął w palce pukiel włosów nad czołem i z powagą wielką go odciął. Dokonawszy tego, zwrócił się do przybyszy:

– Niech i wasze ręce uczynią to samo, a usta wypowiedzą imię, jakie odtąd syn mój nosić będzie.

Z powagą, równą ojcowskiej, obaj przybysze dokonali ceremonii postrzyżyn, a starszy z nich rzeki przy tym:

– Niech imię jego będzie Siemowit i niech mu ono stawy przysporzy.

Następnie wykonał nad głową chłopca znak jakiś nieznany, jakby chcąc nim słowa swoje potwierdzić.

Kolejno podchodzili teraz do Siemowita pozostali goście i każdy pasemko włosów odcinał. Po dokonaniu postrzyżyn zaczęły się pieśni obrzędowe, a potem wszyscy udali się na cmentarz leżący nie opodal, by duchy przodków uczcić.

Gdy powrócili znowu do Piastowej izby, tajemniczy przybysze zaczęli się żegnać. Podziękowali za gościnę, uczynili nad chatą Piasta i Rzepichy ten sam znak, jaki nad głową chłopca nakreślili, i podążyli w dalszą drogę.

Kim byli, skąd przyszli i dokąd prowadziła ich dalsza droga – nie wiadomo. Na pewno jednak nie byli zwykłymi wędrowcami, skoro po ich odejściu okazało się, że jadła nic nie ubyło, choć przecie przez długi czas ucztowano.

A tymczasem Siemowit rósł w zdrowiu i poważaniu u ludu, który po śmierci Popiela na tron go powołał.

- *Legends and Polish tales, Marian Orłóń i Jan Tyszkiewicz*

4. O Wawelskim Smoku

Strach padł na Kraków i okolice. Nieszczęście i smutek zagościł w w całym grodzie. Oto w pieczarze pod Wawelskim Wzgórzem zamieszkał potwór straszny, ogniem i dymem ziejący, do ogromnego jaszczura podobny, smokiem zwany.

Nigdy nienasycony, rykiem potężnym, od którego wawelska skała drżała i ludzkie serca truchlały, pokarmu się domagał. Ludzie, chcąc własne życie ratować, pod smoczą jamę podrzucali krowy i woły, owce i barany. A smok jeszcze potężniejszym głosem o jedzenie wołał. Wkrótce mało mu było krów i wołów, owiec i baranów, i ofiar z ludzi żądać zaczął.

Dlatego strach padł wielkim cieniem na Kraków i jego mieszkańcy coraz częściej prośby do króla Kraka zanosili, by gród od potwora uwolnił. Przemyśliwał nad tym od dawna król Krak, radził się kapłanów i wróżbitów, nagrodę sowną za zgładzenie smoka obiecywał, ale wszystko nadaremnie. Smok dalej siał trwogę i zbierał krwawe żniwo.

Owszem, zjawiali się śmiałkowie, nagrodą skuszeni i sławy żądni, ale ich wyprawy pod smoczą jamę kończyły się ucieczką, a niektórzy też śmierć tam spotykali. Nawet sam Krak zmierzył się trzykrotnie ze smokiem, ale i on musiał potworowi pola ustąpić. Zdawało się, że żadna ludzka siła bestii nie zmoże i gród wieczny haracz składać jej będzie.

Jednakże pewnego dnia stanął przed obliczem króla Skuba, krakowski szewc. Pokłonił się kornie i powiedział:

– Wybacz królu, mą zuchwałość, ale chciałbym i ja walki ze smokiem spróbować. Nie mieczem, a podstępem.

Poruszył się Krak na tronie, uważnie się Skubie przyjrzał – choć go znał bo szewc na dworze bywał – i spytał, cóż to za podstęp wymyślił.

– Smok to bestia wielce żarłoczna – powiedział Skuba – i tylko ta żarłoczność może go zgubić. Umyśliłem sobie, że skórę barana albo wołu trzeba zdobyć, siarką i smołą ją napełnić, na powrót zaszyć, tak by żywe zwierzę przypominała, i pod smoczą jamę podrzucić. Smok się złakomi, barana albo wołu połknie, a wtedy żywy ogień zacznie mu trzewia palić.

Zdumiała Kraka mądrość i przebiegłość szewca, pochwalił pomysł i polecił wnet do dzieła przystąpić. Zabrał się przeto Skuba do pracy. Postarał się o baranią skórę, siarką i smołą ją wypełnił i pod smoczą jamę zaniósł.

Rankiem wygłodniały smok z jamy wypełził, smakowitego barana ujrzał i rzuciwszy się na niego żarłocznie połknął.

Niedługo jednak cieszył się sytością, bo oto ogień straszny począł mu wnętrzości trawić. Aby ten żar wewnętrzny ugasić, podczołgał się smok na brzeg Wisły i zachłannie zaczął pić wiślaną wodę. Pił i pęczniał coraz bardziej, ogromniał, aż wreszcie pękł z wielkim hukiem, uwalniając Kraków od strachu.

Radość wielka zapanowała na wieść o tym zdarzeniu. Krak zaś ucztę wystawną z tej okazji wydał, mięsa i miodu nikomu nie żałował, a Skubę szewcem osobistym mianował.

Do dziś po smoku pozostała tylko ta opowieść i Smocza Jama na Wawelskim Wzgórzu.

- *Legendy i podania polskie, Marian Orłóń i Jan Tyszkiewicz*

5. O Wandzie, co nie chciała Niemca

Smutek, jak czarna chmura, zawisł nad Krakowem. Zdawało się, że nawet Wawelskie Wzgórze ugięło się pod jego brzemieniem. Bo oto okrutna śmierć zabrała Kraka – władcę dzielnego i mądrego, sprawiedliwego i powszechnie szanowanego.

Nie obeschły jeszcze łzy poddanych, gdy zgromadziła się starszyzna, by radzić nad przyszłością grodu. Król męskiego potomka nie zostawił, osierocił jedynie księżniczkę Wandę i ona to – zgodnie ze zwyczajem – winna przejąć władzę po ojcu. Wanda, choć młoda, już zasłynęła roztropnością i urodą. Ale czy to kilkunastoletnie dziewczę podoła tak poważnym obowiązkom? Z troską myślała o tym starszyzna, przekazując w jej ręce rządy.

Wnet się jednak okazało, że obawy te były przedwczesne. Wanda była godną następczynią Kraka, zdobyła sobie serca poddanych, a wieść o jej urodzie i mądrości niosła się na południe i północ, na wschód i zachód. Doszła wreszcie do dalekiej rzeki Łaby, do Niemiec, gdzie rządził młody książę Rytgier.

Szukał on właśnie dla siebie żony i pilnie nasłuchiwał wiadomości, jakie nadchodziły z podwawelskiego grodu o pięknej i mądrej córce Kraka. W końcu zapalał do Wandy tak wielką miłością, iż postanowił pojąć ją za żonę. Posłał więc do odległego Krakowa posłów, zbrojnych w miecze i bogatych w dary, by w jego imieniu o rękę pięknej księżniczki prosili. A gdyby zaś z dobrej woli dać jej nie chciała, groźbą mieli zgodę na córce Kraka wymusić.

Wyruszyli tedy niemieccy posłowie w daleką drogę, przedzierali się przez nieprzebyte puszcze, mijali jeziora i pokonywali rzeki, aż wreszcie stanęli u stóp wawelskiego grodu. Zdumieni się jego okazałością. Nie spodziewali się, że za tymi lasami, przez które się przedzierali, i za tymi rzekami, które pokonywali, zastaną tak potężną warownię.

Zdumienie ich wzrosło jeszcze bardziej, kiedy do biesiadnej izby na wieczerzę zostali zaproszeni. Wodzili wzrokiem po ścianach z cisowego drewna, na których ozdobna broń wisała, podziwiali myśliwskie trofea: rogi żubrów i turów, łosi i jeleni, dziwili się bogatym kobiercom i skórom, którymi ławy były nakryte, nie spodziewali się też tak suto zastawionych stołów...

Ale najbardziej zdumiała ich uroda księżniczki, kiedy nazajutrz rano przed nią stanęli. Otoczona dworkami i starszyszą, z wiankiem na głowie, sama do kwiatu była podobna. Gdy nieco ochłonęli, wystąpił najstarszy z nich i w te słowa przemówił:

– Pani, przysłała nas pan dalekiej krainy, dzielny książę Rytgier, którego serce poruszyło się na wieść o twej mądrości i twojej urodzie. Przysłała nas, by złożyć ci pokłon, przekazać te oto dary i prosić, byś została jego żoną.

Powiedziawszy to, postąpił krok naprzód, pokłonił się nisko i złożył u stóp księżniczki szkatułę pełną kosztowności.

Zarumieniła się najpierw księżniczka Wanda, a potem gwałtownie pobladła. Długo ważyła słowa, zanim odrzekła:

– Powiedzcie swemu panu, że wysoko cenię sobie jego uczucia i jego hojność, ale ręki swej oddać mu nie mogę. Nie sposób bowiem opuścić ziemi, na której się urodziłam, i ludu, który tak kocham.

Nie takiej odpowiedzi spodziewali się posłowie Rytgiera. Stwardziały im twarze. Krótką naradę w obcej mowie między sobą odbyli, a potem znowu głos zabrał najstarszy pośród nich.

– Gdy nasz pan czegoś prośbą nie zyska, siłą zdobędzie – rzekł. – Biada twej ziemi i twemu ludowi, jeśli księciu ręki odmówisz. Pani, jeżeli kochasz ten lud, pomyśl o krwi, którą zapłacisz za twój upór.

Grozą powiało od tych słów. Wanda jednak odpowiedziała dumnie:

– Są większe moce niż siła miecza.

I opuściła komnatę, a za nią podążyły dworki, a także starszyzna. Inaczej wyglądała tego dnia wieczerza na wawelskim grodzie. Coś niepokojącego wyczuwało się w kątach oświetlonej łuczycami komnaty. Smutek osiadł na twarzach biesiadników.

Tylko Wanda zdawała się być beztroska jak zawsze, choć i jej oczy bywały chwilami nieobecne przy biesiadnym stole. Widać było, że dojrzewa w niej jakiś zamysł wielki i bolesny zarazem. Na nieśmiałe rady, by ratując kraj przed wojną, rękę Rytgierowi oddała, miała jedną tylko odpowiedź:

– Żoną Rytgiera nie zostanę, ale gród przed najazdem wroga uchronię.

Dziwiła się starszyzna, dziwili się wojowie, skąd w tej młódce tyle pewności siebie, ale pytać o to nie śmieli.

Wreszcie nad Wawelem zapadła noc niespokojna, wstrząsana dalekimi pomrukami burzy. Pogasty łuczycami w izbach i komnatach, posnęli mieszkańcy grodu, zdrzemnęły się straże. Nikt nie zauważył, jak Wanda opuszcza zamek i kieruje się w stronę Wisły. Nikt też nie widział, jak stoi na stromym brzegu, ogarnia ostatnim spojrzeniem ziemię, którą ukochała nade wszystko, jak wznosi ręce ku górze i jak rzuca się w spienione wody rzeki.

– Lepiej umrzeć niż narazić swój lud na cierpienie. Rytgier nie zdobędzie mnie siłą! – to były jej ostatnie myśli.

Nazajutrz Wisła oddała jej ciało. Głęboki żal wstrząsnął Krakowem. Zapłakał wierny lud. Przejęci byli nawet Rytgierowi posłowie, którzy leszcze w Krakowie przebywali.

Lud zaś usypał na cześć swej pani wysoki kopiec, który do dziś sławi bohaterstwo dzielnej córki Kraka.

- *Legends i podania polskie, Marian Orłóń i Jan Tyszkiewicz*

6. Wiano Świętej Kingi

Zaledwie trzynaście lat miał książę Bolesław, zwany później Wstydlwym, gdy panowie w jego imieniu rządy sprawujący, postanowili mu żonę znaleźć. Rozejrzeli się po sąsiednich dworach i ich wybór padł na Kingę, córkę króla węgierskiego. Posłali przeto posłów na Węgry, do Siedmiogrodu, by ojca o rękę córki dla polskiego księcia prosić.

Król węgierski Polaków za ich dzielność szanował i na ożenek się zgodził. I przygotował bogate wiano córce. Ona jednak nie chciała jednak ani srebra, ani złota.

– Ojczy! – powiedziała. – Srebra i złota w Polsce nie brakuje, to bogaty kraj. Oni potrzebują innego skarbu – soli. Wszak od nas ją kupują. Daj im tyle soli, żeby na długie lata jej starczyło.

– Jakże to? – spytał król. – Tysiąc tysięcy beczek musiałbym im posłać, żeby na wiele lat wystarczyło. Jak to uczynić?

– Wiem, co mówię – odrzekła Kinga. – Wskaż mi miejsce, gdzie sól pod ziemią zalega, a ja ją przeniosę do swej nowej ojczyzny.

– Wszystko, co moje, jest twoim. Bierz to, czego pragniesz!

Wówczas Kinga kazała się prowadzić tam, gdzie sól wydobywano, stanęła pad ciemnym szybem i pierścień zaręczynowy do niego wrzuciła.

Niebawem oblubienica polskiego księcia znalazła się w Krakowie, gdzie księciu Bolesławowi wyznała, iż pierścień zaręczynowy zagubiła, ale wie, gdzie go odnaleźć. Potem udała się z młodym małżonkiem do Wieliczki i tam poprosiła górników, żeby głęboką studnię we wskazanym miejscu wykopali. Zabrali się górnicy do pracy, zagłębiali się coraz bardziej w ziemię, aż na twardą skalę natrafili.

– Dalej nie można, miłościwa pani – rozkładali bezradnie ręce. – Kamień dostępu broni.

– Odłupcie kawał tego kamienia i przynieście go tu! – poleciła Kinga.

A kiedy górnicy wydobyli na zewnątrz odłupaną bryłę, wykrzyknęli zdumieni:

– Toż to nie kamień! To sól! Prawdziwa sól!

Poczęli oglądać szarą bryłę, wodzić palcami po jej chropawej powierzchni i nie przestawali się dziwić nieoczekiwanemu odkryciu.

– Rozkruszcie ją! – rzekła Kinga.

Gdy to uczyniono, z solnej bryły wypadł błyszczący pierścień zaręczynowy, który w swej ojczyźnie do szybu wrzuciła.

– Mnie przyniósł on szczęście – powiedziała do męża. – A tej ziemi sól, której starczy na wieki całe.

- *Legends and Polish folk tales, Marian Orłóń and Jan Tyszkiewicz*

7. Przerwany hejnał

Jeszcze świt nie zaróżowił nieba i gwiazdy migotały nad Krakowem, gdy stary trębacz z Mariackiej wieży był już na krakowskim Rynku. Zwykle o tej porze spał sobie w najlepsze, ale tej nocy dręczyły go sny jakiegoś niespokojne i złe przeczucia kazały mu tak wcześniej opuścić dom.

Bo też niepokój panował w mieście. Ludzie z trwogą mówili o Tatarach, którzy splądrowali Sandomierz i podobno w stronę Krakowa podążają. A groźny to był wróg i bezlitosny! Siał śmierć i rabował. Zostawiał za sobą spalone wsie i miasta, niszczył dobytek. Nic więc dziwnego, że niespokojne sny i złe przeczucia dręczyły trębacza z Mariackiej wieży.

– Z wieży łatwiej wroga dostrzec, wzrok dalej sięga niż z miejskich murów – myślał wspinając się po skrzypiących schodach.

Musiał odpoczywać o kilka chwil, bo serce uderzało mu coraz szybciej i ze zmęczenia, i z niepokoju. Stał wreszcie na szczycie, odsapnął i rozejrzał się uważnie wokół. Miasto spało jeszcze, a i poza jego murami panował spokój. Stary trębacz odetchnął z ulgą.

– Sen mara, Bóg wiara! – mruknął i przysiadł na swej ławeczce.

Wkrótce sen go zmorzył i przespał może kilkanaście minut. Nagle zerwał się z przecuciem, że nieszczęście stanęło u bram miasta. Dopadł do okienka i zdrętwiał. Do miejskich murów zbliżała się tatarska nawała. Zaczynało świtać, noc ustępowała i w bladym brzasku widać było wyraźnie niezliczoną liczbę niewielkich koników, jak gdyby z przyrośniętymi do nich jeźdźcami. Wnet dopadną miejskich murów... Trzeba obudzić mieszkańców, niech chwycą za broń, obsadzą mury...

Stary trębacz ujął drżącą ręką trąbkę, do ust ją przycisnął i zagrał pełną piersią Mariacki hejnał. Podniósł się głos hejnału nad dachami domów, nad wieżami kościołów, dotarł do mieszkań, krakowian ze snu powyrwał.

– Cóż to? – dziwili się, przecierając oczy. – Przecież to noc jeszcze. Czyżby się trębaczowi na starość dzień z nocą pomylił?

A tymczasem hejnał brzmiał dalej, ale jakoś inaczej niż zwykle – głośniejszy, natarczywiej, alarmująco... I ludzie zrozumieli: on zwiastuje nieszczęście! A nieszczęście mogło być tylko jedno – pod bramy miasta podeszli Tatarzy!

Obudziło się miasto. Trzaskały okiennice i bramy. Przerażone głosy wykrzykiwały:

– Tatarzy pod murami! Ratujmy się! Kto może, niech chwyci za broń!

Zatupotały setki nóg. Mężczyźni biegli w kierunku murów, do których dobijali się już Tatarzy. Kobiety z dziećmi schroniły się do kościołów. Rozpętała się walka.

Śmigwały tatarskie strzały, na głowy napastników sypały się kamienie i lala wrząca woda. Kwik koni mieszał się z okrzykami ludzi.

A hejnał dalej wzywał, dalej zagrzewał do boju. Tatarzy wiedzieli, że to on zerwał obrońców na nogi. Toteż kierowali w stronę Mariackiej wieży nienawistne spojrzenia. W końcu wroga ręka naciągnęła cięciwę luku. Długo mierzył Tatarzyn do majaczącej na wieży postaci. Wreszcie wypuścił strzałę. Była celna. Urwał się nagle hejnał, jakby zdumiony tym, co się stało. Wypadła trąbka z ręki trębacza, a on sam osunął się na twarde deski i dziwna cisza zaległa nad Krakowem. Ktoś pobiegł na Mariacką wieżę. Ale na pomoc było już za późno. Stary trębacz nie żył.

Do dziś żyje jednak w urwanym hejnale, który codziennie rozbrzmiewa z Mariackiej wieży.

- *Legends i podania polskie, Marian Orłowski i Jan Tyszkiewicz*

8. Zakład Stańczyka

Mieli królowie, książęta i inni wielcy panowie swoich błaznów. Przebywali oni na ich dworach, zabawiali uczestników biesiad i rozchmurzali czoła rządzących. Pozwalano im na wiele, bo przecież byli tylko błaznami. Oni zaś korzystali z tego przywileju i często pod pozorem facecji i dowcipów objawiali gorzką prawdę, zwracali rządzącym uwagę na ich wady, niesprawiedliwość, niewłaściwe postępowanie, ostrzegali...

Takim właśnie był nadworny błazen króla Zygmunta Starego, Stańczyk. Potrafił bawić biesiadników, rozjaśniać dowcipem królewskie oblicze, ale nierzadko bywało, że padające z jego ust uwagi, były cierpkie i wiele do myślenia dające. Niejeden dworski urzędnik chętnie by go z zamku jak najrychlej przepędził.

Ale w tym przypadku o mniej poważnych sprawach będzie tutaj mowa. Kiedyś pomiędzy Stańczykiem a pewnym szlachcicem stanął zakład o to, jaki zawód można zaliczyć do najliczniejszych w Polsce. Szlachcic wymieniał różne profesje: szewców i kowali, urzędników i kupców, ale Stańczyk przecząco kręcił głową.

– Najwięcej w Polsce jest lekarzy – powiedział wreszcie Stańczyk.

– Lekarzy?! – krzyknął szlachcic. – Żartujesz waść. Gdy niedawno zachorowałem, to kilkanaście wiorst do lekarza jechać musiałem. A waść mówisz, że ich najwięcej. O zakład idę, że nie masz racji.

– Kto ma rację, przekonamy się niebawem – rzekł Stańczyk, robiąc błazeńską minę. – A zakład przyjmuję.

Następnie przewiązał sobie twarz chustką i skrzywiwszy boleśnie usta, wyruszył ze szlachcicem na ulice Krakowa. I okazało się, że rzeczywiście co drugi przechodzień to lekarz. Podchodzili do nieszczęśliwie wyglądającego Stańczyka i ze współczuciem pytali, co też mu dolega.

– Zęby! – jęczał Stańczyk. – Ból świdruje, że wytrzymać trudno, głowa pęka... Lekarza szukam.

– Dam waszmości dobrą radę - powiedział pierwszy przechodzień. – Trzeba zimne okłady stosować. Kilka zimnych okładów i zapomnisz waść, że masz w ogóle zęby.

– Najlepszy jest rumianek – doradzał inny. – Płukać sześć razy dziennie o nieparzystej godzinie. Już po trzecim płukaniu odczujesz ulgę.

– Znam taki sposób, że lepszego nie znajdziesz: zajęcze sadło – przekonywał kolejny „lekarz”. – Przyłożyć na noc plaster zajęczego sadła do obolałego policzka i rano będziesz waść zdrów jak rydz.

– Z zębami to trzeba tak – szeptał zażywny jegomość o czerwonej twarzy. – Zrobić mocną nalewkę, wziąć tęgi łycalek, w ustach go chwilę potrzymać, przełknąć i powtórzyć to kilka razy. Ból przejdzie, a przyjemność zostanie.

– Nie wiesz, waszmość, co dobre na ból zębów? – dziwił się następny znawca medycyny. – Kości z żabich udek! Należy je w mózdzierzu utrzyć, potem odwarem z pokrzywy zalać i o północy wypić. Ból mija, jak ręką odjął.

I tak padały kolejne rady, wszystkie ponoć nad wyraz skuteczne. Stańczyk obiecywał, że z nich skorzysta, a szlachcic, z którym zakład stanął, wybałuszał coraz bardziej oczy, bo nie przypuszczał, że w Krakowie tyłu lekarzy. No i oczywiście zakład przegrał!

- *Legends i podania polskie, Marian Orłóń i Jan Tyszkiewicz*

9. Wizerunek Zbawiciela w trybunale lubelskim

W sali sądowej w Lublinie stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkimi złotymi literami: „*Justitias vestras judicabo*” co znaczy „Sprawiedliwość waszą sądzić będę”. Osobliwość tego wizerunku ta była, iż Chrystus Pan miał twarz odwróconą i rysów jej nie można było widzieć; jednakże snycerz nie był go tak wystawił, ale pewien wypadek stał się przyczyną tej zmiany:

Była wdowa szczupłego miana uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat zobowiązawszy wszystkich członków trybunału zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie:

— Żeby mię sądzili diabli, sprawiedliwszy byłby dekret.

A że sumienie kłuło nieco deputatów, nie zrobiono jej sprawy za te słowa i wszyscy udali, jakoby jej nie słyszeli. A że to było pod koniec sesji, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni, jako i świeccy; została się tylko kancelaria i pisarze trybunalscy.

Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokitach, z rogami na głowie i ogonami, które się spod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów.

Pomiarkowali się pisarze i kancelaria, że to byli diabli, i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc czekali, co z tego będzie. Wtem diabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże wdowy. Przystąpiło do krtek dwóch diabłów jurystów: jeden pro, drugi *contra* stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością.

Po krótkim ustępie diabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie diabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąć pióro.

Zbliżył się pisarz wpół umarły z bo jaźni i przymrużając oczy zaczął dekret pisać, jaki mu dyktowano. Dekret zupełnie przyznawał rację uciśnionej wdowie, a Pan Jezus na taką zgrozę, że diabli byli sprawiedliwsi niż trybunał przenajświętszą krwią Jego wykupiony i w którym tyłu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił i oblicza swego nie pokaże, aż naród się pozbędzie zaprzeczności w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwa w szlachcie.

Ów dekret diabli podpisali, a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu i położywszy go na kobiercu, który pokrył stół trybunalski, zniknęli. Następnej sesji trybunał znalazł diabelski dekret, gdzie był położony; bo rozumie się, że nikt z kancelarii ruszyć go nie śmiał. Złożono go na wieczną pamięć w archiwach.

- *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie, zebrał Lucjan Siemieński*

10. Paproć

Paproć kwitnie tylko o północy, w dzień św. Jana, i to jedną krótką chwilę, bo zaledwie kwiat się pokaże, natychmiast niknie. Gdyby znalazł się człowiek tak szczęśliwy, iż by znalazł kwiat paproci, znalazłby ogromne skarby, których diabeł pilnuje. A jeszcze ciemna zasłona przyszłości nie zakrywałaby oczom jego nieprzewidzianych zdarzeń i wypadków.

Ale na próżno wielu kusilo się o tak ważną zdobycz, na próżno umyślnie czatowano. Okropność, jaka towarzyszy chwili rozkwitania kwiatu paproci, najodważniejszych i siły, i przytomności pozbawiła.

Skoro bowiem przyszła północ i chwila rozkwitania cudownego kwiatu, straszne trzęsienie ziemi, bicie piorunów przy jaskrawych błyskawicach, wycie wichru i śmiech diabelski towarzyszą ciągle.

Jednakże jeden wieśniak dostał go przypadkowym sposobem. Szukał on od dni kilku zbłąkanej krowy. Właśnie w przed dzień św. Jana szedł zasmucony o północy, gdy przypadkiem w łapcie wpadł mu kwiat paproci.

Natychmiast znalazł obłąkaną krowę, dowiedział się o skrytych rozlicznych skarbach i cała przyszłość w widnej postaci stanęła mu na oczy. Biedak nie wiedział, że ma kwiat tak cudowny. Wróciwszy do domu rozżuł się z łapci i kwiat zgubił.

Po tej stracie przyszłość mu znowu ściemniała, jak dawniej, zapomniał o skarbach i tę tylko korzyść odniósł, iż znalazł zbłąkaną krowę.

- *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie, zebrał Lucjan Siemieński*

11. Boruta

Zamek łączycki stoi wśród błot nad Bzurą, a w jego lochach siedzi diabeł Boruta i pilnuje ogromnych skarbów. Krąży o nim takie podanie:

Pewien ksiądz z Łęczycy zaproszony na obiad, jadąc przy pacierzach porannych odmawiał modlitwy nieszporne. Przewidywał bowiem, że nie będzie miał czasu na modlitwy wieczorne podczas obiadu, Właśnie przebywał groble wśród błota, gdy napotyka wieśniaka, który go z rubaszną pozdrawia miną i tymi słowy:

— Dobry wieczór, księżu!

Zdziwiony pleban odpowiada:

— A wszakże to nie wieczór, ale rano.

Na to wieśniak rzecze z szyderstwem:

— Musi być wieczór, kiedy już po nieszporach.

Przełęknięty pleban poznał, z kim rozmawia, i prędzej jechać kazał woźnicy. Był to Boruta, co przybrał na się postać rubasznego wieśniaka.

Innym razem Boruta, uprzykrzywszy sobie siedzieć na skarbach w lochach łączyckich, umyślił przejść się po okolicznej szlachcie. I przypadkiem trafił na wesele, tam pił i hulał.

A podochociwszy sobie wdał się w kłótnię, tak że musiał stanąć szlachcicowi do szabli. Jednakże tenże szlachcic był zawołanym rębaczem i uciął Borucie pazur u łapy. Odtąd Boruta nie chce wyłazić z lochu, bo mu wstyd, że go szlachcic obciął tak szkaradnie.

- *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie, zebrał Lucjan Siemieński*

12. Twardowski

Twardowski był dobry szlachcic, bo po mieczu i kądzieli. Chciał mieć więcej rozumu, niż mają drudzy poczciwi ludzie, i znaleźć od śmierci lekarstwo, bo nie chciało mu się umrzeć.

Razu pewnego wyczytał w starej księdze, jak diabła przywołać można. O północnej dobie Twardowski wychodzi przeto z Krakowa, gdzie leczył w całym mieście i przybywszy na Krzemionki, zaczął biesa głośno przywoływać.

Stanął prędko wezwany i jak w one czasy bywało, zawarli z sobą umowę. Na kolanach zaraz diabeł napisał długi cyrograf, który własną krwią Twardowski, wyciśniętą z serdecznego palca, podpisał. Między wieloma warunkami był ten główny: że dopóty ni do ciała, ni do duszy czart nie ma żadnego prawa, dopóki Twardowskiego w Rzymie nie ułapi.

Na mocy tej to umowy diabłu jako swemu słudze rozkazał Twardowski naprzód, by z całej Polski srebro naniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Wskazał mu Olkusz; posłuszny służka dopełnił rozkaz wydany i z tego srebra powstała sławna kopalnia srebra w Olkuszu.

Wszystko, co tylko Twardowski zażądał, miał na swoim zawołaniu: jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, w daleką drogę siadł na kogucie i prędzej jechał niż konno; pływał po Wiśle ze swoją kochanką – pod prąd wody bez wiosła i żagli, ogromny kamień pod Czerwińskiem sam przyniósł i jednej nocy wykopał pod Knyszynem staw — Czechowizną zwany.

Upodobawszy jedną pannę chciał się ożenić, ale panna chowała we flaszcze robaka i pod tym warunkiem obiecywała oddać temu rękę, kto zgadnie, co to za robak? Twardowski w ciemną nie bity, przebrał się za dziada i przyszedł do ładnej panny. Pyta go zaraz ukazując z dala flaszczykę:

*Co to za zwierz, robak czy wąż?
Kto to odgadnie, będzie mój mąż.*

A Twardowski odrzekł na to:

— To jest pszczołka, mościwa panno!

Zgadł w istocie i wnet się ożenił.

Pani Twardowska na rynku krakowskim ulepiła z gliny domek i w nim sprzedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona ze złości wyklinała w pień, co żyje, on siedząc w pięknej kolasie śmiał się szczerze z tej psoty.

Złota miał zawsze by piasku, bo co chciał, to diabeł znosił. Kiedy długo dokazuje, raz był zaszedł w bór cienisty bez narzędzi czarnoksiężskich. Zaczął dumać zamyślony; nagle napada go diabeł i żąda, aby niezwłocznie udał się do Rzymu.

Rozgniewany czarnoksiężnik mocą swojego zaklęcia zmusił biesa do ucieczki, zgrzytając kłami ze złości, wyrwa sosnę z korzeniem tak silnie Twardowskiego uderzył po obu nogach, że jedną mu zgruchotał. Od tego czasu Twardowski już był kulawy i zwany odtąd powszechnie kuternogą.

W ostatku zły duch, mając już dosyć czekania na duszę czarnoksiężnika, przybiera postać dworzanina i jako biegłego lekarza zaprasza niby do swojego pana, że potrzebuje pomocy. Twardowski za posłańcem spieszy do jednej wsi w sandomierskiem, nie wiedząc, że w niej się gospoda nazywała „Rzym”.

Skoro tylko próg przestąpił onej karczmy, mnóstwo kruków osiadło dach cały i wrzaskliwymi głosy napełniało powietrze. Twardowski od razu poznał, co go może tutaj spotkać, więc z kołyski dziecię małe, świeżo dopiero ochrzczone, porywa na rękę i zaczyna piastować, gdy w własnej postaci wpada diabeł do izby.

Chociaż był pięknie ubrany, miał kapelusz trój graniasty, frak niemiecki z długą na brzuch kamizelką, spodnie krótkie i obcisłe, a trzewiczki ze sprzączkami — wszyscy poznali go od razu, bo wyglądały rogi spod kapelusza, pazury z trzewika i harcap z tyłu.

Już chciał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł wielką przeszkodę, bo małe dziecię na ręku, do którego nie miał prawa. Ale bies wnet znalazł sposób, przystąpił do czarownika i rzecze:

— Jesteś dobry szlachcic, zatem verbum nobile, debet esse stabile.

A to po polsku znaczy: Słowo szlachcica musi być pewne, albo też: na słowie szlachcica można zawsze polegać.

Twardowski widząc, że nie może złamać szlacheckiego słowa, złożył w kołysce dziecię, a wraz ze swym towarzyszem wylecieli wprost kominem.

Zawrzało radośnie stado kruków. Lecą wyżej, coraz wyżej. Twardowski nie stracił ducha: spojrzy na dół — widzi ziemię i miasto Kraków. Żal mu szczerze serce ścisnął: tam zostawił wszystko, co kochał w życiu, ozwało się w nim uczucie z lat niewinności i zanucił godzinki. Bowiem w młodości swojej, kiedy był pobożny, ułożył był kantyczki na cześć Marii i Jezusa.

To go uratowało od piekielnej mocy, albowiem gdy skończył oną pieśń, poznał zdziwiony, że już więcej w górę nie leci i że zawisł w powietrzu. Oglądnie się koło siebie, już nie widzi towarzysza swej podróży, głos tylko mocny słyszy nad sobą:

— Zostaniesz do dnia sądnego zawieszony jak teraz!

Dziś, gdy miesiąc zejdzie w pełni, pokazują czarną plamkę, która jest ciałem Twardowskiego zawieszonym do dnia sądnego.

- *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie, zebrał Lucjan Siemieński*

13. O spółce diabła z chłopem

Razu pewnego diabeł zawarł z chłopem spółkę, ale diabeł nie wiedział co mają robić.

– Na początek interesów – powiedział chłop – piwo razem będziemy warzyć.

Diabeł się zgodził i chłop smaczne piwo zrobił, diabeł. A gdy cały war był w kadzi, rzekł:

— Dzielmy się teraz, dzielmy prędko.

— Dzielmy — kmieć odpowie i zabiera z wierzchu piwo, a diabłu same drożdże z dołu kadzi zostawia.

Widzi diabeł, że źle z nim, bo brzuch go mocno rozboleł. A to skutkiem tego było, że się opił tych drożdży. Rzeczę tedy do chłopca:

— To teraz siejmy i zbierajmy razem.

— Dobrze — odrzekł chłop i zasiał rzepę.

Diabeł już teraz mądrzejszy z wierzchu bierze, dostały mu się liściaste nacie, a chłopu smaczna rzepa.

– Źle — pomyślał sobie bies — pomszczę się na chacie. — Dalej, kmotrze, rzucajmy się w górę, kto z nas mocniejszy.

I porwał chłopca, zamiótł po piasku, rzucił w górę, aż nad komin swojej chałupy wyleciał.

— Mocnyś diable — rzekł kmieć, co zbladł nieco bujając tak wysoko — teraz na mnie kolej.

I porwał diabła w poły, ścisnął, ale miasto rzucić, w górę wlepił oczy, patrzy się w miesiąc, co był w pełni.

Zdziwiony diabeł pyta — a czego tam ślepisz?

— Patrzę, mój kmotrze, czy się mój rodzic na miesiącu nie pokaże, co cię, jak rzucę, odbierze.

Diabeł co rychlej przestraszony wyrwał się z rąk chłopca i uciekł jak oparzony.

- *Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, Kazimierz Władysław Wójcicki*

14. Rycerze śpiący pod Wawelem

Górale, co z wysokich hal swoich odwiedzali często Kraków, uderzeni wspaniałością zamku wawelskiego, w podaniu odwiecznym zachowali, że w głębokościach góry Wawelu jest drugi taki sam zamek, tylko nie taki cichy, smutny, nie taki głuchy i grobowy, na który ludzkie oczy patrzą, jeno piękny, jasny, wspaniały, od złota błyszczący, z koralowym dachem, oświetlony zawsze jasnym słońcem, a tak miło nań patrzeć, jak dawniej ludzie patrzali na stojący na Wawelu zamek dziś opustoszały, bo bez królów.

W tym podziemnym gmachu jest ogromna sala, jakoby kościół jaki, po ścianach wisi wiele zbroi: to tarcze, szable i chorągwie. Na środku stoi stół, a wokoło siedzą wszyscy królowie polscy w szatach koronacyjnych.

Raz w rok słyszą ludzie huk i rżenie koni, odgłos trąb i wrzawę wojenną, wtedy powstaje od stołu król Bolesław Chrobry, miecz, co dostał od anioła, świeci mu dziwną jasnością na ramieniu, wychodzi z podziemnego grodu o samej północy, wolnym krokiem przebywa zamkowe podwórze, a chrząszczy i brzęczy żelazna na nim zbroja. Jeżeli kto z ludzi śmiertelnych z nim się spotka, a jest to dobry człowiek, to zobaczy króla w całej wspaniałej postaci i zrobi się w sercu lekko, radośnie, lecz gdy jest to jaki zły człowiek, nie ujrzy go wcale, ale uczuje trwogę, żal straszny zakręci mu w mózgu i bezprzytomny upadnie.

Wnijście do tego podziemnego zamku wyobraźnia górali wskazywała przez smoczą jamę, znajdującą się u stóp Wawelu.

Lud krakowski dotąd utrzymuje, że gdy jakie wielkie nieszczęście ma kraj cały dotknąć, słyhać w podziemiach zamku i katedry jakby nabożne pienia pełne rzewności, a człowiek, który je usłyszy, od płaczu nie może się wstrzymać.

- *Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, Kazimierz Władysław Wójcicki*

15. Stopka Królowej Jadwigi

Na przedmieściu Krakowa, zwanym Piaski, stał blisko prawie przez półtrzecia wieku kościół Nawiedzenia Najświętszej Panny oo. karmelitów nie dokończony, który założył Władysław Herman. Świętobliwa królowa Jadwiga w r. 1390 skłoniła męża swego, Władysława, ażeby go wykończył.

Wyjednawszy na to potrzebne fundusze, pragnąc przyspieszyć budowę świątyni Pańskiej, przybywała tu często i krzając się pomiędzy pracującymi rzemieślnikami, zachęcała do pośpiechu to miłym słówkiem, to datkiem, jako staranna i rządna gospodyni nadzorując ich robotę, wierna położonej sobie zasadzie, którą w liście do męża wyraziła: „że odrzuceniem wszelkiej światowej okazałości spodziewam się zasłużyć na miłosierdzie Boga”.

Chodząc po wznoszących się coraz wyżej murach, z radością pobożną mając nadzieję, że w nich wkrótce zabrzmie pieśń chwały Pańskiej, wstąpiła na mur świeży i trzewik jej utkwiał w niewyschniętym wapnie. Oparła więc nogę na leżącym głazie, a gdy jeden z kamieniarzy oczyszczał jej trzewik, królowa, którą uderzyło oblicze jego szlachetne i pełne wyrazu rzewności, z tą dobrocią, co ośmiela i poufali, wdała się z nim w rozmowę. Dowiedziała się wtedy, że pomimo najcięższej pracy nie może zarobić na utrzymanie starego ojca, chorej żony i małych dzieci. Przejęta litością, zdjawszy z palca kosztowny pierścień, ofiarowała biedakowi, mówiąc: „Pracuj i módl się, a Bóg cię nie opuści.”

Kamieniarz stanął zdumiony, a gdy odeszła królowa, ocierając łzy wdzięczności, spostrzegł ślad jej stopy oznaczony wapnem na kamieniu. Na ten widok powziął myśl szczęśliwą wykucia tej stopy a obok niej roku tego zdarzenia 1390.

Kamień ten wmurowano przy drzwiach w cokole zewnętrznym kościoła. Kamieniarz, ile razy tu przechodził, całował tę stopkę królowej Jadwigi, której dar wniósł w dom jego spokój i szczęście. Za jego przykładem oddawali tę cześć wykutej stopce i inni, a po śmierci królowej 1399 r. uważali ten kamień jako drogą relikwię po niej.

W roku 1657 Szwedzi ze względów strategicznych, opanowawszy Kraków, zburzyli ten kościół. Później z gruzów ukazał się kamień ze stopką królowej, lecz z odbitą częścią, na której był rok wykuty. Kiedy na nowo ze składek pobożnych wzniósł się kościół i kaplica Matki Boskiej Piaskowej pospolicie zwanej, oo. karmelici, chroniąc od zagłady ten kamień, wmurowali go w jej narożnik i wykuli na nowo rok 1390. Ta pamiątka przechowuje się do dni naszych.

- *Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, Kazimierz Władysław Wójcicki*

16. Madej

Jechał raz pewnego kupiec przez las gęsty i ciemny. Błądził długo i w pomroce nocnej ugrzązł w bagnie bez ratunku. Zasmucony począł rozpaczać, gdy nagle w postaci ludzkiej zły duch mu się pokazał.

— Nie smućcie się, człowieku! — wyrzekł do kupca — ja was wyciągnę z błota i do domu wskażę drogę, ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czym ty nie wiesz, moją zostanie własnością.

Kupiec pomyślał trochę i przystał na podany warunek, nie wiedząc, że żona powiła mu w czasie podróży dalekiej dorodnego syna. Diabeł wyciągnął go z błota, wyprowadził na szeroki gościniec, a zmusiwszy kupca do wydania cyrografu, raz jeszcze umowę przypomniał i zniknął.

O ile z radością powitał żonę tak dawno nie widzianą, o tyle zasmucił się widząc ładnego syna, którego już złemu duchowi zapisał. Skrycie płakał nieraz poczciwy kupiec, tając łzy gorzkie przed żoną, tymczasem dziecię w pacholę wyrosło.

Było ciche, spokojne i chętne do nauk; w piątym roku już dobrze czytało i pisało, co tym więcej strapione serce ojca jątrzyło, że z dziecięciem tak lubym wkrótce się rozstać musi, oddając na ofiarę diabłu. Małe pacholę, doszedłszy lat siedmiu, uważało smutek ojca i łzy rzewne, ile razy zapatrywał się w jego urodne oblicze. Tyle przeto prosił, tyle nalegał, że kupiec wyjawiał mu wszystko.

– Nie troszcz się, mój rodzicu, Bóg mi dopomoże, ja pójdę do piekła i cyrograf odbiorę.

Płakała matka, płakał i ojciec błogosławiąc na tak daleką drogę chłopczynę, który zrobiwszy potrzebny przybór, niebawem wyruszył z domu. I szedł długo i daleko, aż zawędrował w puszcę ciemną i straszną, a tu w jaskini ukrytej zamieszkał rozbójnik Madej.

Morderca własnego ojca, matkę jeno zachował przy życiu, co mu gotowała strawę. Nikomu nie podarował życia; kogokolwiek dostał, bez litości zabijał.

Matka, starsza już niewiasta, zabłąkanych w jaskini przechowywała, ale Madej miał węch tak doskonały, iż zaraz poczuwał ludzkie ciało.

Chroniąc się przed burzą, przypadkiem zaszło tam nasze pacholę; stara, litując lat młodych, ukryła go w ciasnym zakątku jaskini, lecz Madej, za ledwie wpadł do niej, poczuł świeżego człowieka.

Już biedne dziecię nachyliło głowy pod zabójczą pałką, kiedy rozbójnik dowiedziawszy się, gdzie idzie, podarował mu życie, z warunkiem, ażeby zobaczył w piekle, jakie dlań zgotowano po śmierci męczarnie.

Pacholę, równo ze świtem opuszczając jaskinię, prędko dostało się do piekielnej bramy; święconą wodą i obrazkami, które przylepiało, otworzyło ją snadnie. Zaskoczył mu Lucyfer z zapytaniem, czego żąda?

– Cyrografu! na moją duszę przez ojca mego wydanego.

Hetman piekielny, chcąc go się pozbyć czym prędzej, wydać cyrograf rozkazał, ale trzymał go kulawy Twardowski, co parzony kropidłem święconej wody nie chciał wrócić cyrografu.

Rozgniewany Lucyfer krzyknął:

— Weźcie go na Madejowe łożę! — a Twardowski, przestraszony okropną męką, oddał pismo w tejże chwili.

Ciekawy chłopczyna poszedł zobaczyć tak straszliwe łożę. Było z żelaznej kraty, wysłane ostrymi nożami, iglicami i brzytwami, pod spody palił się ogień nieustanny, a z góry kapła kroplami rozpalona siarka.

I wyszedł z piekła, i szedł dzień jeden, dzień drugi, aż trzeciego zaszedł do tejże jaskini, gdzie go już oczekiwał zasmucony Madej. Doniósł więc o tym, co widział, rozbójnikowi. Zmartwił z przestrochu zbrodzeń; a chcąc tak srogiej męczarni uniknąć, postanowił pokutować.

Wyszli więc razem z jaskini: Madej ukląkł w lesie, zatknął w ziemi przy sobie morderczą pałką, wiedząc zaś, że młode pacholę na księdza się poświęciło, przyrzekł, iż dopóty czekać będzie na tym samym miejscu, dopóki nie zostanie biskupem.

Minęło lat kilkadziesiąt, nim on chłopczyna z księdza otrzymał dostojność biskupa. Raz, gdy przejeżdżał przez puszcze ciemną i gęstą, nie zbadaną okiem, doszedł go jabłek zapach przyjemny. Rozkazuje więc swej służbie tego owocu wyszukać; dworzanie wkrótce wracają i donoszą, że w pobliżu jest piękna jabłoń, ale żadnego nie da sobie urwać jabłka, przy niej zaś klęczy starzec siwobrody.

Biskup idzie na wskazane miejsce i zaskoczony poznaje Madeja, okrytego siwizną, z długą, do ziemi zarosłą brodą, który go o wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie zaklinał. Przychylił się kapłan do jego prośby, a dworzanie z osłupieniem patrzali, jak w czasie tego aktu jabłko po jabłku, zamienione w białe gołąbki, znikło w powietrzu. Jedno tylko pozostało jabłko, była to dusza ojca Madeja, którego sam zamordował, a ten grzech ciężki utaił, lecz gdy wyznał i ten grzech ostatni, ostatnie jabłko, przedzierzgnięte w siwego gołębia, za innymi uleciało.

Modlił się gorąco biskup nad grzesznikiem, a gdy dał mu rozgrzeszenie, ciało Madeja w drobny proch się rozsypało.

- *Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, Kazimierz Władysław Wójcicki*

17. Zmora

Zmora to jest widmo złośliwe, które nocą się tylko ukazuje na świętej ziemi. Rzuca się na śpiących ludzi, a przyciskając im piersi kościstymi kolanami sprawia uderzenie krwi do głowy, którą się wyłącznie karmi i nasyca. Jeżeli śpiący potrafi rozbudzić się ze snu twardego i zerwać z postania, Zmora ucieka, jeżeli zaś snu nie przemoże, Zmora pije krew spływającą nosem lub nacina zębami małą żyłkę w skroni lub szyi i wysysa.

Jest to widmo wysokie, chude, ale skądne, z nogami dłuższymi jak u zwyczajnych ludzi. Ciało ma białe, przezroczyste. Ci, co widzieli w jasnej księżycowej nocy postępującą Zmorę, dostrzegali, że światło księżyca przeglądało jak przez czysty bursztyn przez jej białe ciało, tak że policzyć można było wszystkie żebra i kosteczki. Idzie krokiem powolnym, wysoka jakby na szrudłach, umie otwierać wszelakie zamki, czy to w chatach, czy w dworach i pałacach.

Jeżeli napije się do syta krwi ze śpiącego człowieka, ciało jej przybiera barwę czerwieni, ma krok szybszy, bo klusem wybiega z tego domu. Wtedy wpada do stajni, wybiera najdzielniejszego konia, oklep dosiada i pędzi w pola i łąki pilnując się zawsze strony jasno oświeconej promieniami księżyca. Długimi nogami opasuje podbrzusze konia, który rozhukany, jakby kluty żelaznymi ostrogami, pędzi z całej siły.

Zmora, przygięta nad grzywą, z rozczzerwienionym ciałem, rękoma nadaje kierunek rumakowi, bijąc go to w kark, to w chrapy, zwracając głowę i oczy w świetlaną twarz księżyca.

Tak hasa i hasa w, pełnym galopie, dopóki na koniu nie wystąpi biała piana i nie ujrzy, że bliski jest padnięcia. Wtedy zwraca do stajni, zapędza do żłobu, a sama znika. Koń wystraszony, spieniony strzyże uszami i lęka się co chwila z obawy, ażeby widmo znowu go nie pędziło.

Jedynym środkiem ochrony dla koni od Zmory jest przybicie na drzwiach zabitej sroki. Widmo progę takiej stajni nie przestąpi i ucieka jak przed morową zarazą.

Kiedy Zmora dusi śpiącego człowieka, a ten jękiem objawia cierpienia z duszenia przez niego doznawane, potrzeba z cicha i nieznacznie zbliżyć się do niego i niewidzialnej Zmory i lewą ręką, poczynając od głowy, szybko przegarnąć do stóp, trzymając w prawej otwartą butelkę. Po czym otwór dłonią założyć, a następnie korkiem zatkać. Jedyny to sposób, widmo bowiem, zajęte dręczeniem śpiącego, nic nie słyszy i nie widzi, uderzone dłonią kurczy się, maleje i wpada w środek butelki, a wówczas przybiera postać słomki albo drobnego robaczka. Taką butelkę trzeba utopić lub rzucić w ognisko. W wodzie będzie słycać długo kwilenie jakby dziecka małego, w ogniu, gdy szkło pęknie, trzask straszny wstrząsa ścianami i pisk niesłychany z oparzonej Zmory, która w dymie jako czarna, długa pręga uchodzi kominem.

W mowie ludu pamięć tego widma i wiara w jego istnienie przechowuje się stale, kiedy bowiem złożony niemocą wieśniak lub kobieta stęka ciężko i boleśnie, mówią w wielu okolicach Mazowsza: „Jęczy, jakby go Zmora dusiła.”

Zmora jest duchem nadziemskim, zesłanym na utrapienie bożej ziemi, i początek jej nieludzki, gdy upiór powstaje ze zwłok zmarłego człowieka, które zły duch ożywia i wiedzie obudziwszy w nim gorącą krwi żądzę.

- *Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, Kazimierz Władysław Wójcicki*

18. Seweryn Goszczyński

Kasperek

Kasperek był jednym z mieszczan i kupców Starego Sącza. Pewnego razu kupił on na Węgrach wino, ale Węgier przez omyłkę między beczkami wina wydał mu beczkę z pieniędzmi.

Poznawszy omyłkę, żądał od Kasperka zwrotu tej beczki, ale Kasperek się zaparł. Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysiągł tą rotą: „Jeżeli nie mówię prawdy, niech mię nie przyjmie po śmierci ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani piekło, ani niebo”.

Wkrótce umarł, ale nie było sposobu go pochować. Zakopany w ziemię, nazajutrz leżał na wierzchu; wrzucany w ogień — nie gorzał; zatopiony — wypływał na brzeg; a zarazem włóczył się przez całe noce na białym koniu po ulicach miasta. Nikomu nic złego nie robił, był nawet tak powolny, że przez okno zazierał, kiedy go zawołano po imieniu, tylko wiecznie milczał.

Dopiero pewnej czarownicy udało się go zwabić i zaspokoić pogrzebem nowego rodzaju: oto powiesiła go na włosku; w tej więc postawie usechł i w proch się rozsypawszy zakończył swoją nocną jazdę.

19. Narcyza Żmichowska

O rybaku i księżniczce

Gdzieś nad bardzo głębokim morzem stał bardzo wysoki zamek na bardzo wysokiej skale i bardzo mała chatka na bardzo niskim brzegu; w chatce mieszkał rybak, piękny, młody, w zamku mieszkała piękna młoda księżniczka.

Rybak pokochał księżniczkę — księżniczka przyrzekła kochać rybaka. Jednej nocy rybak usnął w chatce swojej, księżniczka umarła w swoim pysznym zamku. Rybak płakał dzień cały, płakał i noc całą, a księżniczce na zamku śpiewały stare mnichy z długimi brodami i stare baby z wypadłymi oczyma.

Na drugi dzień i przez całą drugą noc rybak się modlił ciągle, a księżniczkę ubrano w złociste suknie, zamknięto w kryształowej trumnie, wstawiono do grobu, przyciśnięto ciężkim kamieniem i kamień zapieczętowano królewską pieczęcią.

Przez trzeci dzień rybak założył ręce, siedział nad brzegiem i ani sieci nie zarzucił, ani czołna nie naprawił, a księżniczka leżała w zimnym i ciemnym grobie pod ogromnym kamieniem, pod pieczęcią królewską. Na trzecią noc rybak leżał w chatce swojej, ale nie spał — z dwunastą godziną uchyliły się drzwi chaty i weszła księżniczka w swojej złocistej sukni, ale bardzo drżąca i blada. Rybak wyciągnął do niej ręce, a księżniczka spytała go:

— Czyś ty mię kochał, rybaku?

— Jakżeż ja cię kochać nie miałem — rybak odpowiedział — kiedyś ty umarła, a ja się trupa twojego nie lękam?

— Dziękuję ci, rybaku — rzekła na to księżniczka i schyliwszy się, odgarnęła mu włosy z jednej strony głowy i pocałowała w samą skroń.

I tak było nocy następnej i jeszcze następnej, i wszystkich nocy przez lat trzy. A tymczasem twarz rybaka coraz bledszą się stawała, ręce ego coraz słabsze; nie wychodził za próg domu, nie siadywał nad brzegiem morza, nie wstawał z postania swego. Przyszedł doń ksiądz i mówił:

— Spowiadaj się, biedny człowiecze, bo twoja śmierć bliska.

A on się dziwnie do księdza uśmiechnął i ręce położywszy na sercu mówił:

— Nie, jeszcze mam sześć nocy przed sobą; siódmej nocy przyjdźcie tu.

I siódmej nocy przyszedł ksiądz, a za księdzem chłopiec mały z zapaloną gromnicą i olejami świętymi, z wodą święconą i kropidłem w ręku. Ksiądz i chłopiec widzieli, jak nad posłaniem rybaka stała jakaś postać w złocistej sukni z załamanymi rękoma, a rybak już leżał blady i nieżywy.

Ksiądz się przeżegnał, postać zniknęła, ale rybak nie wstał już; ciało jego było blade jak kreda, na prawej skroni tylko miał włosy rozgarnięte i znak drobny jak od ukłucia szpilki maleńkiej.

Ksiądz przelękły pośpieszył na zamek, wezwał kapelana i wszystkich obecnych, zstąpili razem do sklepień kościelnych, znaleźli na grobie księżniczki pęknięty ogromny kamień i pozrywane królewskie pieczęcie. Kamień odwalili, ujrzeli w kryształowej trumnie piękną księżniczkę, świeżą, jakby snem najrozkoszniejszym zasnęła, a tylko na jej ustach, niby koralu ziarna, maleńka jeszcze kropla krwi świeciła.

20. Józef Lompa

Strach

Jeden młynarz miał trzech synów. Najmłodszy był głupi. Dwaj starsi mieli go sobie za błazna i różne z nim żarty czynili. Jednego razu rzekli do niego:

– Pójdziemy ukraść księdzu wieprza. Ty zatem będziesz z kostnicy wyrzucać kości.

Głupi czynił tak przez całą noc. Wczas rano idzie organista dzwonić, słyszy, że ktoś jest w kostnicy. Ujrzawszy, że kości wyrzuca, pobieżał do księdza i o tym powiedział. Ksiądz już od dawna miał podagrę, nie mógł chodzić i musiało go czterech parobków w krzesła na drążkach do kościoła nosić. Zaopatrzywszy się w świętości kazał się nieść na cmentarz. Organista szedł przy nim i niósł kropidło i kociołek z święconą wodą. Gdy księdza na cmentarz wnieśli, wyjrzał głupi z kostnicy i zawołał:

– Niesiecie go? Dajcie go tu!

Parobcy wzdrygnęli się, postawili krzesło i uciekli. Organista za nimi. Ksiądz zebrał się na nogi, uciekł i od tego czasu już nie potrzebował, aby go noszono. Głupi powrócił do domu, a bracia pytali go, jeżeli się nie bał stracha w kostnicy. On mówi:

– A co to jest strach? Pójdę ja go szukać.

Poszedł i gdziekolwiek przybył, pytał się o stracha. Przyszedszy do jednego dworu dowiedział [się], że pan dziedziczny w pobocznym domu mieszka, a to z przyczyny, że przed strachami nikt w zamku wytrwać nie może.

– Oj, to ja spróbuję — rzekł głupi i prosił, aby o tym panu donieśli.

Pan odradzał mu, lecz on się stałym okazał. Dano mu światła za tyle i poszedł na noc do zamku. Po godzinie jedenastej stał się wielki gruch w całym gmachu. Wpadła kominem ćwierć ciała człowieka, wpadła i druga, a na ostatku i tułów.

Wtem przyszli diabli, zrzucili części ciała na kupę, które się zaraz zrosło i ruszać zaczęło. Oprawcy zaczęli ostrzyć noże, brzytwy i inne narzędzie. Głupi stał, dźwignął umarłego z ziemi i posadził przy piecu. Po chwili rzekł do umarłego:

– Ale fe! Ty smrodzisz!

Potem zaś tak aż go palnął od lewicy ku prawicy w twarz. Diabli natychmiast uciekli. Umarły powstał i mówił:

– Tyś mnie wybawił. Pokutowałem tu za niesprawiedliwie nabyte skarby.

Wziął głupiego i prowadził do piwnic, z tej niżej do drugiej i aż do trzeciej. Tam wskazał mu skarby schowane. Polecił, co miał dać ubogim i kościołom, a żeby resztę sobie zostawił. Głupi tak uczynił, stał się mądrym, a w zamku już więcej nie straszło.

Henryk Sienkiewicz

Bajka

Za górami, za morzami, w dalekiej krainie czarów, przy kolebce małej księżniczki zebrały się dobre wróżki ze swą królowną na czele. I gdy, otoczywszy księżniczkę, patrzyły na uśpioną twarzyczkę dzieciny, królowa ich rzekła:

– Niechaj każda z was obdarzy ją jakim cennym darem wedle swej możliwości i chęci!

Na to pierwsza wróżka, pochylając się nad uśpioną, wypowiedziała następujące słowa:

– Ja daję ci czar piękności i mocą moją sprawię, że kto ujrzy twarz twoją, pomyśli, iż ujrzał cudny kwiat wiosenny.

– Ja — rzekła druga — dam ci oczy przezrocze i głębokie jak toń wodna.

– Ja dam ci powiewną i wysmukłą postać młodej palmy — ozwała się trzecia.

– A ja — mówiła czwarta — dam ci wielki skarb złoty, dotychczas w ziemi ukryty.

Królowa zamyśliła się przez chwilę, po czym, zwróciwszy się do wróżek, tak zaczęła mówić:

– Piękność ludzi i kwiatów więdnie. Urocze oczy gasną wraz z młodością, a i w młodości często zaćmiewają się łzami. Wichur łamie palmy, a wiatr pochyla wysmukłe postaci. Złota kto nie rozdziela między ludźmi, ten budzi ich nienawiść, a kto je rozdzieli, temu pustka zostaje w skrzyni. Przeto nietrwale są wasze dary.

– Cóż jest trwałego w człowieku? i czymże ty ją obdarzysz, o królowo nasza? — pytały wróżki.

A na to królowa:

– Ja jej dam dobroć. Słońce jest wspaniałe i jasne, ale gdyby nie ogrzewało ziemi, byłoby tylko martwo świecąca bryła. Dobroć serca jest tym, czym ciepło słońca: ona daje życie. Piękność bez dobroci jest jako kwiat bez woni albo jak świątynia bez bóstwa. Oczy mogą podziwiać taką świątynię, ale dusza nie znajdzie w niej ukojenia. Bogactwo bez dobroci jest piastunką samolubstwa. Nawet miłość bez dobroci jest tylko ogniem, który pali i niszczy. Wiedźcie, że wasze dary mijają, a dobroć trwa; jest ona jak źródło, z którego im więcej wody wyczerpiesz, tym więcej ci jej napłynie. Więc dobroć — to jedyny skarb niewyczerpany.

To rzekłszy królowa wróżek pochyliła się nad śpiącą dzieciną i dotknawszy rękami jej serca, rzekła:

— Bądź dobrą!

